

kielichy, rozciągając cudną woń dookoła. — Za każdym powiewem lekkiego, wietrzyka chyliły się, a złoty pyłek z ich kielichów spadał na ziemię.

Lecz w środku ogrodu różnobarwne kwiecie ustępowało miejsca samym fiołkom. Pokrywały one całe lany drobnymi listkami. Wśród nich, po złotych ścieżkach, biegały dzieci śliczne i wesołe, z dzbanuszkami i różowymi pałuszkami skrapiały fiołkowy kobierzec. W pośrodku tych kwiatów, na wysokim klombie, obrał sobie miejsce „kwiat szczęścia“. Z bielutkich jego listków biła jakaś jasność, a tyle w tej ich białości było kolorów, że mieniały się cudnie, rozciągając delikatną woń daleko — daleko. Ptaszęta, które osiadły jego krzak śpiewały mu cichutko — melodyjnie. —

„Szeroka droga wysypana złotym piaskiem prowadziła do „kwiatu szczęścia“. Tłumy ludzi tu chodziły, a kto zacerpnął srebrzystej wody, bijącej z jego korzeni — ten był szczęśliwy. — Tyle to dobrego wyświadczał ludziom kwiat, a nie tylko ludziom, lecz i innemu kwiatom i stworzeniom. Dlatego wszystko się radowało — i nie było łez. — — —

Daleko na północy mieszkała cudna królowna. — Lecz w jej kraju nie było „kwiatu szczęścia“. — Ludziska byli biedni, narzekali, rozpaczali — zimny wiatr dał, śnieg sypał, ścisnął mróz i niszczył płody ich pracy. Królowna kochała swój biedny ludek, z radością więc powitała swaty króla z cudownej krainy i przyjęła, lecz pod warunkiem, że jej przyszłe „kwiat szczęścia“. —

Młody nieroztropny król — kazał kwiat zerwać i posłać królownie. — Spelniono rozkaz, lecz kwiat w drodze uwiadł. Dawał szczęście wszystkim, lecz sam sobie życia powrócić nie mógł. Biedy posypały się na krainę króla — żałoba padła na państwo, a kwiaty wspaniałego ogrodu rozsypały się po całym świecie. —

I odtąd, gdy tylko pierwsze promienie złotowłosej jutrzeńki rozjaśniają daleki wschód — biedne kwiaty oplakują swe świetne czasy. Dlatego to całe obsypane są perełkami rosy, — a nieświadomi nie wiedzą, że to.... łzy. —

Amea.

WSPOMNIENIA Z TAŃCÓW.

(Humoreska)

Stała się rzecz dziwna! —

— Oto Max N. znany między kolegami w popularnym języku „Pomidorem“, zapragnął chodzić na tańce...

— Każdemu może przyjść taka ochota, a zwłaszcza gdy kto ma poważną rangę sztabowca, czyli dwa złote pasy na kołnierzu, a do tego parę czarnych niepożyczanych spodni. — Wprawdzie nie idealnie całych, — ale to, jak utrzymywał sam „Pomidor“, nie jest rzeczą decydującą o zewnętrznym wyglądzie świata, — a nawet czasem urozmaïcenia na powierzchni spodni mile bawią oko i przerywają monotoność! Przytem namowy kolegów przyczyniły się też znacznie do

rozpalenia boskiej chęci tańczenia — i zaczęła się nauka.....

— Lecz trudne są drogi prowadzące do szczęścia, o czym już Herakles miał sposobność się przekonać, a obecnie znowu „Pomidor“.

— Zaczęło się więc od „cichych“ lekcji! (Niech pamięć ich zginie w głębiach Tartaru!). — Straszne one były! Straszniejsze od najokropniejszych godzin greki. — Mistrz skoków, człowiek z kosią bródką, z mogami jakby poskładanymi z luźnych telepiących się kawałków, z bazyliiskowym uśmiechem na obliczu był postrachem „Pomidora“.

Stałe utrzymywał, że gdyby sprowadził najniezdarniejszego hipopotama z środkowej Afryki, to ten z pewnością lepiejby tańczył mazura, niż on!

— Ale przy dobrych chęciach, wytupywaniu mazura całymi godzinami w domu i szkole trudności dały się usunąć i — po trzech tygodniach usilnej pracy, zauważyć już można było różnicę między np. walcem, a mazurem (może się ktoś z tego śmiać, ale „Pomidor“ utrzymywał, że jest to jeden krok w postępie ludzkości naprzód) bo przecież „Pomidor“ (mam na myśli mego bohatera) jest człowiekiem, a z ludzi składa się ludzkość.

— Tymczasem zbliżał się dzień „sądu“ t. j. zbiorówki.

Poprzedziły go naturalnie olbrzymie przygotowania. Przedewszystkiem pożyczanie bluzki od jednego ósmaka, — wprawdzie nieco zaobszernej — ale lepszy rydz niż nic, więc cóż robić, trzeba się było też pogodzić z myślą naprawienia jednego buta, który idąc z postępem czasu, chciał się rozdzielić na kilka partii, a którym to rewolucyjnym poglądom miał mistrz kopyta zapobiec przez zeszyicie. Przeżalenie się przez dwie noce na spodniach, wyprasowało je (jak utrzymywał „Pomidor“) bajecznie. Kołnierzyka dostarczyła od swego męża gospodyni, który tą zaciąg ozdoby, obecnie zabytek archiwalny, miał przy ślubie. Gorzej było z manszetami, te jednak (tu wybaczcze mi czytelniczki niedyskrecję) przy umiejętnym użyciu papieru rysunkowego, łatwo się dały zastąpić.

I nadszedł „dies illa“. —

Całe popołudnie trwały przygotowania: mycie, szorowanie, bieganie, przeplatane mazurem dla powtórzenia, czyszczenie, ubieranie, zdejmowanie i t. d. Wszystko gorączkowo, ze strachem; — potem już sam nie wiedział, jak się znalazł w sali oświetlonej, wylustrzonej, z wyfoterowaną błyszczącą podłogą, kanapkami po bokach.

Wśród tego było mu trochę dziko! Przedewszystkiem olbrzymio przeszkadzał mu kołnierzyk, wysoki może na 10 cm., wypychał mu głowę gdzieś w górę, i niepozwalał mu nią swobodnie ruszać, tak, że za każdym razem musiał się cały obracać. — Bluzka znowu opadała mu na dół, spodnie też nie były w zupełnej zgodzie z szelkami i to go doprowadzało do pasji. Wyglądam, jak „pawian“ — myślał sobie — lecz cofać się już nie było można!..

I tu „muza daj mi opiewać dzieje Pomidora“.... rozległy się strojenia instrumentów, buczenie klarnetu, drżące tony